

płochu, i już z bułką postąpił cokolwiek na przód wyciągając ku niedźwiedziowi rękę. Dobrze jednak że nie zbliżył się lepiej, bo niedźwiedź nagle zeskończył ze słupa i tak silnie uchwycił natręta za poję od surduta, że ją udarł i w jednej chwili potargał na kawałki. Na szczęście napaść niedźwiedzia była tak gwałtowną, że gdy poła się oddzierała właściciel jej jak długi runął na ziemię w przeciwnym kierunku. Stłukł się więc dobrze bo aż stęknął, stracił całą poję ale ocalał z życiem, bo gdyby go niedźwiedź był dostał w łapy, z pewnością zrobiłby to z nim co z udartem sukmem.

Dziś już z niedźwiedziami ustały widowiska, bo rząd bardzo słusznie zabronił męczyć te zwierzęta, widzieć je więc można tylko w menażeryi, lub w lasach w jakich się znajdują.

Jeżeli wam zdarzy się kiedy być w menażeryi, przypatrujcie się zgromadzonym tam stworzeniom którym Bóg równie dał życie jak człowiekowi, ale się im nigdy nie sprzeciwiajcie ani naprzykrzajcie, bo one i tak są już biedne, że pozbawione swobody, zostały zamknięte w ciasnych klatkach dla ludzkiej ciekawości.

Muszki w nosku.

„Czemu Staś tak skrzywił buzię,
Czemu sfukał małą Rózię,
Czemu dąsa się na Zosię—?”
„Bo mam Tato muszki w nosie!”
„Dobrze że choć dzieci wiedzą
Gdy im muszki w noskach siedzą.”
„Jak nie wiedzieć, kiedy Mania,
Wujcio, Madam, Antoś, Frania
Powtarzają w każdą chwilę,
Że w mym nosku muszek tyle.
Ja im wierzę, boć nie sposób,
Starszych nie posłuchać osób.”
„Więc wypędzić je wypada.”
„O, z muszkami trudna rada,
One z tamtąd się nie ruszą”.
„Pomógł bym ci całą duszą:
Ale to jest trud niemały
Gdy się muszki zasiedziały
To choroba; i niełatwo
Ją wypłenić między dziatwą—
Staś szczęśliwy z tłumaczenia,
Humoru swego nie zmienia,
Wciąż się dąsa, stroi miny
I tak mijają godziny.
A obiadku nikt nie niesie,
„Tato, woła: „jeść mi chce się!”
„Kucharz nic dziś nie gotował,
Bo na muszki zachorował.”
„Kucharz duży. — ”Duzi, mali,
Wszyscy już zachorowali:
Ta choroba jak cholera
W powietrzu się rozpościera.”
„To choć bułki daj mi Tato!”
„I piekarze chorzy na to:
Na twe prośby każdy głuchy,
Wszyscy mają w nosach muchy.”
„Cóż więc robić?” „Jeden sposób

By mniej było chorych osób,
Niech wyleczy się Staś mały....

„Mnie już muszki wyleciały!”

„Ach jak dobrze że Staś zdrowy,
Wielki kłopot spadł nam z głowy:
Mija epidemija wreszcie.

Zdrow i kucharz — zakupkę nieście!”

Ludwik Niemojowski.

ZEGAREK.

Marcinek i Joasia dostali od Babcia zegarki, ale jak Marcinek zobaczył że skazówki na nich nie poruszają się, rzekł:

— Zegarok ładny Babcia kupiła i dziękuję za niego bardzo, ale żeby tak zegarek był prawdziwy tobym się ucieszył.

— Ach! to prawda, dołożyła Joasia, i ja bym wolała prawdziwy.

— Więc nie jesteście zadowolone z mego podarunku?— spytała Babcia.

— O nie Babcie! bardzo się cieszymy, ale zawsze zegarek prawdziwy to więcej znaczy.

Babcia przeszła do swego pokoju i niedługo wróciwszy przyniosła dzieciom dwa zegarki prawdziwe.

— Macie więc prawdziwe, rzekła, noście je ale z wielką uwagą, bo najmniejsza z niemi nieostrożność może je popsuć.

Dzieci ucieszyły się bardzo taką zamianą, ale w krótko przekonany się że i te zegarki nie idą.

— Babcie te zegarki także nie idą— odezwał się Marcinek.

— Bo nie nakręcone, odrzekła Babcia, macie kluczyki nakręćcie więc je.

— A kiedy nie umiemy.

— Kto pragnie prawdziwych zegarków to powinien je umieć nakręcać, ale na pierwszy raz pokażę wam jak się to robi.

Zegarki więc zostały nakręcone, ale że Babcia zaleciła z niemi ostrożność więc jak Marcinek chciał poskakać, zaraz go Joasia przestrzegła, żeby się uspokoił, bo zegarek może się wysunąć z kieszonki i upaść. Chodzili więc z wielką uwagą, co się Marcinkowi nie bardzo podobało; a gdy Babcia zapytała czy już teraz są zadowoleni, Marcinek odrzekł;

— Brakuje jeszcze do niego łańcuszka z kluczykiem....

— I u mego także, dołożyła Joasia, żeby łańcuszek od szyi spadał aż do pasa.

Babcia nic nie mówiąc, zaczęła łańcuszki do zegarków, a dzieci tak się tem ucieszyły że aż się do siebie uśmiechnęły. Przechadzały się potem z wielką powagą, pokazywały każdemu że mają prawdziwe zegarki, ale się strzegły wszelkich żywych ruchów, bo się lękały o zepsucie swoich podarunków.

I tak zeszło z parę godzin czasu, Babcia ciągle dawała baczenie, przestrzegła o spokojne zachowanie się, bo łańcuszek zaczepiwszy się mógł być zerwany.

— Zegarki ładne bo ładne. odezwał się Marcinek, ale powiem Babcie pod wielkim sekretem, że strasznie nudne.

— Ach tak, potwierdziła Joasia. trzeba nie nie robić tylko zważać na nie żeby się nie popsuly, Nie można ani pobiegać, ani wesoło się zabawić....

— Osoby dorosłe nigdy nie biegają.

— A przecie my jeszcze nie dorosli jesteśmy.

— Ale kto ma zegarek prawdziwy, to już się powinien uważać za osobę dorosłą.

— To my zawsze tak wolno mamy chodzić i zawsze uważać żeby się co złego zegarkom nie zrobiło?

— Naturalnie, że zawsze, bo dorośli zawsze tak postępują.

— To już Babciu wolimy te pierwsze zegarki nieprawdziwe, bo przy prawdziwych to niedługo pośpiemy się.

— Zgoda moje dzieci, z tego jednak powinniście się nauczyć, że wszystko powinno być odpowiednie do wieku, i jak śmiesznie byłoby gdybyś ty Marcinku we frak się ustroił, a Joasia w długą suknię, tak niewygodnie jest mieć zegarki właściwe tylko dla dorosłych.

— Ach to prawda! potwierdziły dzieci, i odebrawszy znowu pierwsze zegarki zaczęły biegać wesoło nie lękając się o zrobienie w nich szkody.

Módl się.

Módl się dziecię, pracuj szczerze,
A Bóg przyjmie to w ofierze,
Bo jedynie szczerą pracą,
Daje zdrowie, i z bogactwa.

ZABAWKA.



Józio z Karolcią biegali po ogrodzie, w tem Józio biegnąc obrócił się ku Karolci, zawadził nogą o kamień i padł na ziemię jak długi. Karolcia przestraszona przybiegła do niego, ale Józio zerwał się żwawo na nogi i zawołał:

— Nie bój się Karolciu, nic mi się nie stało. Troszkę się stłukłem.....

— Ale sukienkę całą zapyliłeś, ach! jakby Mama zobaczyła.....

— To mnie oczyść moja droga, przerwał Józio, i dalej się otrząpywać z kurzu.

Zostały jednak ślady na ubraniu a szczególnie na łokciach i kolanach: Karolcia się tem bardzo zmartwiła, wytrząpywała jak mogła ale bez miotki trudno było poradzić.

— Jeżeli jeszcze teraz pobłocisz bućiki, odezwała się, a sukienką gdzie o krzak zawadzisz i rozdrzesz, to Mama na prawdę bardzo się tem zmartwi.

— Bądź spokojną, odrzekł Józio, będę się starać żeby Mamie nie zrobić zmartwienia. Jak wrócę do domu, to te znaki na kolanach i łokciach oczyścę miotką i nie zostanie ani śladu z przewrócenia.

Pomału więc rozweselił się znowu Józio i gdy Karolcia zbierała kwiatki na bukietiki dla Mamy, Babcii i Cioci, Józio przeskakiwał, figlował i uganiał się za motylami ale żadnego nie mógł złapać.

W ogrodzie była studnia i mała sadzaweczka, Józio pobiegł prosto do nich, ale prędko zatrzy-

mał się i wskazując na strugę wody z błotem pomieszana, rzekł:

— Nie pójdę dalej bo mógłbym buciki powalać i Mamę tem zmartwić. W tem przelatujący bąk z buczeniem uderzył Józia po twarzy, że aż chłopczyk przymrużył oczy. Bąk zaraz odleciał między krzaki, Józio pobiegł za nim, ale się znowu zatrzymał mówiąc:

— Mógłbym go złapać, ale w krzakach łatwo rozdrzeć ubranie i jakby mnie bąk ukąsił, toby Mama się zmartwiła. Nie pójdę więc go łapać, niech sobie buczy kiedy mu dobrze.

Kiedy wreszcie zawołano na dzieci żeby się wróciły do domu, Józio poprosił Walentego o miotkę, zdjął surduci i tak starannie wyczyścił pozostałe plamy z kurzu po przewrocie, że najmniejszego po nich nie zostało śladu. Zeby zaś wszystko na nim w należyty sposób porządku, opylił nawet buciki z pyłu, wycesał się i poprawił ubranie. Mama nie mogła się dosyć nacieszyć że Józio taki pamiętny, a chłopczyk aż się uśmiechał że się Mama raduje.

Kochaj wszystkich.

Chcesz ażeby cię lubili?
Bądź usłużny w każdej chwili,
Kochaj wszystkich jak swych braci,
Taką miłość i Bóg płaci.

Spotkanie z kominiarczykiem.

W małym pewnym miasteczku, cokolwiek na uboczu w domku otoczonym parkanem, mieszkali Rodzice z trojgiem dzieci, Zosią, Jankiem i najmłodszą Marynią. Jednego dnia bawiąc się w ogrodzie, Marynia spojrzawszy przez furtkę zawołała z przestraszeniem:

— Ach! idzie kominiarz, uciekajmy!

— To się boisz kominiarza?—zapytała Zosia.

— Tak, bardzo boję, uciekajmy moja kochana, uciekajmy!

— To nasz znajomy, zawsze u nas wyciera kominy, pójdźmy go lepiej przywitać.

Marynia schowała się za plecy siostry, a Janek rzekł śmiało:

— Tak, pójdźmy się z nim przywitać.

Kominiarczyk zobaczywszy dzieci podchodzące ku sobie, uśmiechnął się do nich przyjaznie i powiedział, że się bardzo cieszy iż je zobaczył.

— I my się także cieszymy, rzekła Zosia, a na powitanie podaj mi rękę do uściskania.

Kominiarczyk trzymając drabinę i miotkę, wyciągnął rękę, Janek spojrział na niego bacznie, a Marynia z lalką przy boku, ukryta za Zosią, szepnęła:

— Ach jaki on czarny i zamorusany.

— Tak panienko, odrzekł kominiarczyk, czarny jestem i zamorusany ale z pracy nie z niechlujstwa.

— Widzisz!—zwracając się do siostry szepnęła Zosia.

— Jakbym panienko, nie wytarł sadzy, mówił dalej kominiarczyk, toby się mogły zapalić i cały dom uległby pożarowi, a kto wie czyby i całe nasze miasto nie zostało spalone. To gdzieby wtedy pa-

nienka mieszkała, gdyby z całego miasta pozostały tylko gruzy i popiół?

— Widzisz!—odezwała się znowu Zosia, jak to dobrze że on nam sadze wyciera.

— Ach! ja się tak boję ognia—szepnęła Marynia i przysunęła się do siostry.

— Gdybym nie oczyścił komina, mówił dalej kominiarczyk, toby na kuchni nie można było gotować, nie byłoby ani objadu ani śniadania, a bez nich byłoby bardzo niewygodnie.

— Widzisz, jak to dobrze Maniu, rzekła Zosia, że on oczyszcza kominy.

— Bardzo dobrze, potwierdziła Mania i stanęła tuż przy boku Zosi.

— Gdybym także nie pamiętał o luftach w piecach, toby kochana panienka, mówił dalej z uśmiechem kominiarczyk, widząc że się Marynia jakoś ośmiela, toby moja panienka w zimie nie można było w piecach palić, i podczas mrozów w domu byłoby tak zimno jak na dworze.

grzeczne obejście się z kominiarczykiem rzekła:

— Bardzo dobrze moja Maniu że się nie boisz, bój się tylko próżniaków choć wykwintnie ubrałych, ale robotników najprostszych, najniepozorniejszych szanuj bo próżniak jest ciężarem a robotnik każdy pożytek z siebie daje.

Dwa Motyle.

Jeden w barwach szkarłatnych, drugi motyl biały,
Na gałązce zielonej tuż razem siedzieli:
Wtem się powadziły o ozdobę swoją,
Czy więcej skrzydła białe, czy jaskrawe stroją?
Kiedy się w kłótni swojej zaczęły rozwodzić,
Przyleciał z gaju słowik, a chcąc ich pogodzić,
Rzekł: czy to skrzydła białe, czy jasne, lub złote,
Wszystkie godne pogardy, gdy zdołają nicemotę!



.....kominiarczyk wyciągnął rękę.....

— Ach! zawołała Marynia, a ja się tak boję zimna.

— A widzisz!—razem odezwał się Janek z Zosią, jak to dobrze że są kominiarze: wszak prawda?

— Prawda, prawda, potwierdziła Marynia, to daj mi rękę jak Zosi.

— A kiedy czarna i zamorusana.

— Kiedy chcę koniecznie tak zrobić jak Zosia.

— To dobrze panienka, odrzekł kominiarczyk, rękę panienki uściśnię delikatnie to jej nie powalam, a że panienka przekonała się, że kominiarze bardzo są pożyteczni, to jej rączkę w dodatku pocałuję.

I zrobił jak powiedział, Mania z radości aż pokraśniała i zdawało się jej, że kominiarczyk choć zamorusany ale jakiś bardzo przyjemny. Kiedy potem dzieci pobiegły do Mamy! Mania zawołała:

— Mateczko, już się nie boję kominiarzy.

Zosia opowiedziała Mamie całe zdarzenie. a Mama wysłuchawszy wszystko i pochwalivszy dzieci za

Niech was nie drażni zazdrość o błyszczenie świetne,
Bo nie strój poniża, lecz uczynki szpetne.

T. K.

Mazgaj.

Przestań Franu być mazgajem,
Bo to jest brzydkim zwyczajem,
Ucz się wcześniej pókiś młody,
Cierpliwie znosić przygody.

Nie gniewajcie się.

Bądźcie łagodniemi dziećmi,
Gniew twarzycki bardzo szpeci,
Ale prawdę wyznać muszę,
Jeszcze bardziej szpeci duszę.

T. R.